

Paweł Badzio

część II z II

Sygnatura notacji: **N0557**

Data urodzenia: **24.11.1959 r.**

Data nagrania: **07.02.2024 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadzący rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 60 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Paweł Badzio: Mieszkaliśmy na ulicy Wielickiej, która była przedłużeniem Krasickiego. Krasickiego jest ulicą willową. Wielicka już mniej, bo mieszkaliśmy naprzeciwko mleczarni, która została rozwalona kiedyś i powstał na jej miejscu apartamentowiec. I dalej już były po prostu bloki, o których mówiłem. To znaczy bliżej Dworca Południowego były domy wojskowe. Z kolei od strony Broniwoja były domy milicyjne. W każdym razie duża reprezentacja była jakby tych służb siłowych tutaj. I to się ciągnęło i ciągnęło, aż zdumiewająco. Jak myślę o swojej pierwszej podstawówce zastanawiam się, czy to możliwe w ogóle, żeby ktoś z tych ludzi się przyłączył do jakiegoś oporu i tak dalej, i tak dalej. Raczej nie. Nie wydaje mi się. Jeżeli chodzi o moich znajomych, bo to czasami dobrze jest patrzeć przez pryzmat znajomych, no to właśnie mój dziesięcioletni kolega był z rodziny wojskowej. I pamiętam, że teraz nie będę go wymieniał z imienia i nazwiska, bo dla mnie jest to frapująca przygoda do tej pory. Był taki chłopak, który pochodził z typowo inteligenckiej rodziny. Zupełnie taki się wyróżniał. Miał okulary, był prymusem. Poszedł na Wydział mechaniczno-lotniczy. Byłem przekonany, że będzie naukowcem. Okazało się, że zaczął mieć bardzo bliskie kontakty ze służbami. I kiedyś powiedział na pytanie: czy chcesz być właśnie, nie wiem, naukowcem. Mówi – nie, chcę być policjantem. Mówię – ok. W jakiś sposób, i to jest ciekawe, próbował mnie wysłać, znaczy myślę, że on inwigilował te środowiska, bo to były jeszcze lata 70-te, jakieś około KOR-owskie. Prosił mnie, żebym mu pomógł obserwować ludzi, którzy według niego byli mu dłużni jakąś pożyczkę za kafelki, coś takiego. Coś takiego nieprawdopodobnego w ogóle, bo ja nie słyszałem o takich akcjach, żeby w ten sposób można było robić, to znaczy angażować swojego bliskiego znajomego w taki sposób. Ale to była prawda. No mam nadzieję, że nie, nigdy nie został naukowcem. Więc w tej szkole podstawowej, niestety nie mam wrażenia, żeby ktokolwiek tam był istotny z punktu naszego, po prostu ważny. To się powoli zmieniało. To znaczy dopiero na studiach. Na Wydziale Filozofii, na Wydziale Socjologii. Tam

już poznałem innych ludzi, prywatnie. Tak się poznawało zupełnie innych ludzi i tworzyło się inne środowiska, Ale myślę, że lata siedemdziesiąte były swoistym koszmarem takiego państwa totalitarnego, mimo wszystko. Można było pamiętać o Andersie, można było pamiętać o tym, o Katyniu. Natomiast 18-latkowie szli do wyborów dlatego, że rodzice mówili jak nie pójdziesz do wyborów, to możesz nie zdać matury i tak dalej. I to jest to, jest takie moje spojrzenie na tamtą rzeczywistość. A Wielicka była wtedy wybrukowana i samochody z mlekiem, ze szklanymi butelkami budziły nas o 5 rano. Jadąc po tych brukowanych kamieniach, gdzieś tam rozwożąc to mleko. I to była też taka cecha mojego, taki głos mojego dzieciństwa. Informacje o tym, że jest zupełnie inny przekaz, na który trzeba zwrócić uwagę, to dotarło do mnie chyba w jakimś... pod koniec lat 70-tych, tak, ,78 mniej więcej. No oczywiście był papież, ale też pamiętam właśnie, że dostałam „Archipelag Gułag” od kogoś, to znaczy chyba od Michała Jagiełło, który później był w Grupie Oporu, a on dostał z kolei chyba od swojej siostry, która studiowała polonistykę, a jednocześnie już w latach 70-tych odbywały się takie spotkania z KOR-wcami, z Michnikiem, z Kuroniem na SGH. Oczywiście to ZSP robiło te spotkania w nadziei, że oni po prostu zmuszą tych KOR-owców do... Znaczą, że będą autorami jakiegoś fatalnego wizerunku Michnika i Kuronia. Ale to się zawsze działo zupełnie odwrotnie. To znaczy wszyscy byli zafascynowani ich osobami i myśmy się tam zaczęli wybierać na te spotkania. Czyli to było takie przełamanie się. Z jednej strony ciągle był istotny ten sposób myślenia, którego nazwę w cudzysłowie „technokratyczny”, to znaczy, że trzeba się dostać na studia i sobie poradzić, a z drugiej strony już ta kurtyna była rozdzielana. Jeżeli chodzi, ale tak jak mówię, pod koniec lat 70-tych, a przedtem ja chodziłem do szkoły. Ona teraz jest szkołą imienia Goethego, wtedy była imienia Modzelewskiego. Ona była też taka specyficzna szkoła technokratyczna, dlatego że ona miała bardzo duży współczynnik uczniów przyjmowanych na wyższe studia, a jednocześnie nie miała w ogóle takiego prestiżu, jak miał po trochu Rejtan czy Batory w owych czasach. To znaczy tam rzeczywiście ta kadra była, można powiedzieć, niesłychanie konformistyczna i skomunizowana, to znaczy w pewnej części były to nauczycielki, które były żonami po prostu kuratorów, jakichś tam ludzi wysoko postawionych, które były po prostu na potwornie niskim poziomie, a po części byli to ludzie konformistyczni, ponieważ była to szkoła z rozszerzonym niemieckim, więc ona rzeczywiście dbała o to, żeby ten niemiecki był na wysokim poziomie. Natomiast mój wychowawca Alfred Krulikowski na przykład był członkiem ORMÓ, co dla nas było powodem na pewno do śmiechu ogromnego. Ale proszę zwrócić uwagę: wychowawca, który chodził w takich tyrolskich spodniach czasami i z taką pałą przy sobie. Fizyk, paranoja. Pamiętam taką scenę, która też jest istotna i która ma coś do powiedzenia. To znaczy, jak wiadomo, patronem naszym był Modzelewski, który miał tablicę z mosiądzu na ścianie naszej szkoły. No i myśmy kiedyś na tym podwórku szkolnym, ponieważ spadł świeży śnieg, zaczęliśmy walić z piguł do Modzelewskiego. I w tym momencie niedaleko Modzelewskiego otworzyło się okno i ukazała się twarz wicedyrektora szkoły, który nas zaprosił do siebie. Wtedy był Michał, taki mój kolega Andrzej Pacholczyk i ja. I poszliśmy tam do niego. Rok ,76- ,77. On mówi -w co rzucacie? A ja mówię – no w ścianę. A w co trafiałeś? Mówię – też w ścianę. I w tym momencie nie wytrzymałem i dostałem ataku śmiechu. Ten dyrektor dostał szału. Pamiętam, że Andrzej Pacholczyk też nie mógł opanować śmiechu. Tylko biedny Michał był strasznie zestresowany, bo wiedział, że coś nam chyba jednak grozi. A skończyło się to tylko niedostatecznym z języka rosyjskiego, bo dyrektor uczył rosyjskiego, ale zostawił nas w spokoju. Trzeba pamiętać o tym, że w takim totalnym systemie, wtedy już nie, ale to zawsze groziło. Jakieś kretyńskie potknięcie, taka dwójka z rosyjskiego, wyrzucenia ze szkoły to już było bardzo blisko pójścia do wojska. Na dwa lata, czyli zaburzenia życia. Myśmy tak to odbierali, stąd ten stan. Dlatego Michał się wcale nie śmiał. Wcale mu nie było do śmiechu wtedy. A jeżeli chodzi o licealną klasę, jak teraz pamiętam, to była klasa matematyczno-fizyczna, czyli właśnie technokratyczna. I oni wszyscy szli

na politechnikę. Mam nadzieję, nie wiem, część na jakieś ściśle kierunki jak fizyka czy chemia. Ja nie pamiętam, żeby ktokolwiek z nich był zaangażowany w jakiekolwiek środowisko opozycyjne, chociażby na trochę. Ja myślę, że ja i Michał byliśmy absolutnymi wyjątkami. Niestety. Strajk był specyficzną bardzo rzeczywistością, trochę odrealnioną, mówiąc szczerze. Mieliśmy wykłady, mieliśmy koncerty. Żyliśmy jak w innym mieście, czy w innym kraju w ogóle. Nie przychodziła do nas ta myśl, że może być wprowadzony stan wojenny, mimo że ja wtedy byłem też ankierem Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, zdaje się czasami jeździłem, Zbierałem opinie i ankiety, opinie ludzi i widziałem, że mimo tego, że ludzie ciągle mocno mówią, że utożsamiają się z Solidarnością, wiedziałem, że następuje takie pogorszenie nastrojów. To znaczy są coraz większe obawy i coraz mniejszy optymizm. A to była jesień, wyraźna jesień roku '81. Ale strajk dla nas, młodych studentów, to był takim oddechem jeszcze wolności, jeszcze głębszej wolności, tak można powiedzieć. Wydawało nam się, że wpływamy na rzeczywistość bardzo mocno. Cały strajk dotyczył zarejestrowania Niezależnego Zrzeszenia Studentów. O ile pamiętam, mówię z tego niepewnością. Ja przynajmniej nie miałem takiego czarnego nastroju, ale to mnie uczuliło na całe życie, że jeżeli ktoś pyta mnie o rozwój wypadków, to powinienem za wszelką cenę unikać swojego optymistycznego wariantu. Także myślę, że myślenie o rządach Platformy Obywatelskiej w horyzoncie 8 lat jest w tym momencie usprawiedliwione. No i to, że zostałem obudzony przez sąsiada, który wybierał się gdzieś na, nie wiem, na działkę, mimo że to był zimny grudzień. To było dla mnie zdumiewające. Nie wierzyłem mu. No a później to już szło własnym torem. To znaczy pamiętam, że byłem na ulicy Mokotowskiej, bo wtedy tam była też siedziba regionu NSZZ Solidarność i oni byli otoczeni przez ZOMO. A z kolei przed tym sznurem ZOMO stali ludzie, którzy nie bardzo wiedzieli, co robić. Tak to wyglądało, tak wyglądały te pierwsze dni. Udało mi się zatrzymać ogromny konwój wozów pancernych i SKOT-ów. Przez przypadek. To znaczy te kilkanaście wozów bojowych i SKOT-ów jechało Aleją Niepodległości, przekraczało Woronicza. Na początku był gazik, gdzie siedzieli wysocy oficerowie. No i ja im pokazałem tak. I wtedy ten gazik się zatrzymał i ta cała kolumna się zatrzymała. Wrośłem w ziemię. Z każdej suki, ciężarówka właściwie zaczęli wyskakiwać żołnierze uzbrojeni. No a ten tylko wylegitymował i powiedział – na drugi raz radzę unikać takich gestów. To był drugi, trzeci, czwarty dzień po wprowadzeniu stanu wojennego. No więc komu się udało to zrobić? Zatrzymać całą kolumnę? Powstanie Grupy opisałem najlepiej jak potrafiłem. To znaczy musiałbym, chciałbym pewnie to skonfrontować jeszcze z Piotrkim Ziglem, ale myślę, że to wszystko było na trochę niższym poziomie. To znaczy właśnie pomiędzy MRKS i powstającymi Grupami Teosia. Oczywiście Teoś miał takie kontakty, jakie miał, to znaczy de facto... Natomiast nie, na tym poziomie Grup Oporu czy szefów Grup Oporu, to raczej byłoby to trudne, jak sądzę. W każdym razie ja nie miałem kontaktu wtedy z RKW i tak naprawdę te wysokie kontakty poza Teosiem to dopiero przyszły. Faktem jest, że było te spotkanie, tak jak mówię, z Konradem Bielińskim, chyba Ewą Kulikową, którzy byli w Komisji. Mi się wydaje, że ja byłem po prostu odpowiedzialny za funkcjonowanie Grupy, także myślę, że ja byłem szefem tej Grupy, a Jakub nas dzielnie reprezentował właśnie na tych wszystkich spotkaniach z Teosiem, a także się komunikował trochę z Wojtkiem właśnie Nachiło, czy z innymi. Chyba na początku przynajmniej też Lech Grodziński chodził na te spotkania z Teosiem. Na pewno, ale tak jak mówię, Lecha też zacząłem postrzegać jako członka naszej Grupy w pewnym momencie. Szczególnie wtedy, kiedy odeszliśmy od Grup, a weszliśmy do Radia i on siłą rzeczy też się Radiem zajmował. Pamiętam, byłem na dwóch spotkaniach w ogóle z Teosiem, chyba w zastępstwie Kuby, jak sądzę. Nie pamiętam. Tam się poznałem z Wojtkiem. Myślę, że osoby, które regularnie tam przychodziły i próbowały tworzyć, mieć jakieś pomysły i tak dalej, to mogły się z nim kontaktować, ale nie pamiętam, żeby Kuba jakoś się kontaktował bardziej z Wojtkiem Nachiło, czy z kimkolwiek innym. Z Lechem Godzińskim, ale to dlatego, że myśmy się też znali towarzysko

i dlatego, że Godziński był później jakby z nami. I to jest tyle. Byliśmy zdyscyplinowani. Przez to zdyscyplinowanie nie mieliśmy własnych pomysłów. To źle o nas świadczy. Ale tak było niestety, przynajmniej do ,87 roku. Myśmy szli jako Grupa na szereg rzeczywiście demonstracji. To znaczy też byliśmy... Już teraz nie pamiętam, no były różne akcje, też przy, na mszach księdza Popiełuszki. Wiem, że mieliśmy, to z trudem jakoś sobie przypominam, bo wiem, że to chyba Wojtek Nachiło robił taką akcję właśnie z „gadała” w tym rejonie. Tam zresztą były, no właśnie, pewnie jest to bardzo dobrze, fajnie opisane w książce albo gdzieś tam. W każdym razie tam pojawiła się taka bardzo silna sugestia, że w naszym środowisku jest wtyka, dlatego, że na podsłuchach komunikatów milicyjnych można było wywnioskować, że służby wiedzą o tej akcji. Więc to była właśnie „gadała” w tym miejscu. Ale myślę, że właśnie to pasowało do grupy Wojtka. Tak, tak. Takie bardzo spektakularne. My mieliśmy coś tam obstawiać, ale nie pamiętam. Czasami wiem, że mieliśmy też być aktywni na demonstracji, która wtedy chyba, bo to były też takie próby organizowania demonstracji z okazji rocznicy rejestracji Solidarności. To z kolei było na jesieni, na jesieni i myśmy tam mieli czasami obstawiać, nie wiem, ludzi z transparentami i tak dalej, i tak dalej. Coś takiego było, ale teraz nie będę... Na pewno byliśmy na dziesiątkach demonstracji, natomiast nie zawsze mieliśmy sprecyzowany cel, że tak powiem. To znaczy, że akurat tam mamy obstawiać te demonstracje albo obstawiać tych ludzi, albo te transparenty. Myśmy sami nie wywiesili żadnego transparentu. Oczywiście wiedzieliśmy o akcji na Rakowieckiej i tak dalej, bo to też chyba, jak mi się wydaje, przynajmniej jedno z nich to robił, nie Teoś, tylko Wojtek, tak mi się wydaje. Chociaż... no ale mniejsza z tym. No i później będąc w Radiu, no to towarzyszyła nam ta konieczność konspiracyj, żeby nie robić nic innego, tylko samo Radio, co oczywiście było takim postulatem nie do zrealizowania, bo tak naprawdę to wszyscy przeczucali się i bibułą, i książkami, i znaczkami, i tym wszystkim. Także tu też dochodziło do powielania różnych miejsc. Zresztą byliśmy zatrzymani, przewiezieni na ul. Mostowskich, już pod koniec ,83 roku, przez przypadkowo jakąś akcję właśnie Wojtka Maziarskiego. Ale akurat się tak stało, że kilka osób z Grupy Oporu tam trafiło na przesłuchanie na Mostowskich. To nie było przyjemne. To było trochę dłużej niż 48. Tam blisko 90 godzin siedzieliśmy. Czyli ze 3 dni z kawałkiem. I chodziło o to, że po prostu ktoś nieostrożnie zostawił jakieś informacje w drzwiach na temat jakichś paczek, które miały przyjechać z lotniska. To był chyba przypadek, nie wiem. W każdym razie zakończyło się to nieprzyjemnie, bo to były masowe rewizje. No i dosyć długie, jak na nas siedzenie, na Mostowie i się zastanawianie, czy my wpadniemy, czy my nie wpadniemy. To znaczy gdzie jest ta „Berta”? Akurat u kogoś? Nie, nie było jeszcze „Berty”. Przepraszam, bo to był ,83 rok. Czyli ja się bałem akurat, bo miałem część nakładu Poboga-Malinowskiego u siebie chyba właśnie wtedy. Więc się zastanawiałem – kurde, jak te 100 czy 200 książek wpadnie w ich ręce, to jaka szkoda. Byliśmy podporządkowani Teosiowi, a ten był podporządkowany RKW. Także wydawało nam się, że jesteśmy żołnierzami. Po prostu. Nie mieliśmy żadnych wtedy, nie mieliśmy żadnych aspiracji takich, żeby działać na własną rękę. Nie, wydawało nam się, że im bliżej jesteśmy RKW, tym lepiej. To znaczy tym lepiej to o nas świadczy. A pomysły o tym, że tak naprawdę i Radio, i przekaz i tak dalej powinny inaczej wyglądać, to już była sprawa o wiele późniejsza, to znaczy końca lat 80-tych. Podziemne Radio Solidarność miało trzy co najmniej, zupełnie jakby fazy niepowiązane ze sobą. I ja będę się upierał, oczywiście, że Zbyszek Romaszewski dał taki impuls do wszystkich środowisk konspiracyjnych i podziemnych, żeby się nad tym zaczęli zastanawiać i próbowali uruchomić to. Ale on miał nadajnik na falach średnich, który był bardzo łatwo inwigilowany. Później, po jego aresztowaniu nadano jeszcze jakieś audycje, żeby wzmocnić przekonanie wśród bezpieki, że jest to większa struktura radiowa i że Radio będzie nadal funkcjonowało. No, te akcje pościgu za Radiem były zupełnie spektakularne, te jeżdżenie sukami po całej Warszawie i tak dalej, i tak dalej. Ale też pelengatory łatwo namierzały tego typu nadajnik. Także później była taka faza, która

miała chronić Romaszewskiego. I później taka faza schyłkowa tak naprawdę, kiedy już właściwie bardziej istniała jakaś tam struktura niż nadawanie audycji i to... Ale doszło do pewnego potężnego przełomu w ,85 roku, to znaczy wtedy, kiedy wymyślono ten pomysł, który był nieprawdopodobnie skuteczny, to znaczy nadawanie na wizji i fonii Telewizji, wskutek czego pelengatory ubeckie okazały się bezradne, bo one pokazywały Pałac Kultury i nadajnik telewizyjny. To znaczy nadawanie tych audycji było technologicznie niewykrywalne, pozostały tylko metody operacyjne, wskutek czego Radio było dosyć bezpieczne i dopiero w ,88 roku tak naprawdę tam doszło do jakiegś... do próby takiej silniejszej inwigilacji osób związanych z Radiem. Grzesiek Buczek się powołuje na to właśnie, że były jakieś dwie osoby, które starały się go za wszelką cenę namierzyć, czy już go namierzyły. No, tutaj mamy różne pozycje. To znaczy w niektórych meldunkach, które widziałem, to pojawiła się jakaś osoba, która o nas mówiła, o tym jak my funkcjonujemy. Miałem nawet ksero. O właśnie, ale to jest ksero jakby z lat późniejszych, to znaczy jakiś meldunek jakiegoś oficera, który powołuje się na osobę o pseudonimie „Ciotka”. Mamy pewne sugestie, kto to mógłby być. I tak dalej, i tak dalej. Jest opisane trochę relacji pomiędzy nami. Też jest opisana moja skromna osoba jako osoba wiodąca w przydzielaniu zadań i tak dalej, w tej grupie radiowej. No ale to nie zmienia postaci rzeczy, że ta druga faza zaczęła się z „Bertą” lub z innymi podobnymi nadajnikami o mniejszej mocy, „Bilami” czy innymi, które powodowały to, że tak naprawdę bezpieka była absolutnie bezradna. To znaczy oni mieli ten sprzęt NRD-owski, który miał im pomagać w namierzeniu naszych nadajników. Ale co z tego, że sprzęt NRD-owski i generał Pożoga? Nie, no to było nie do namierzenia. Ale przez to, że to było rozproszone, też te struktury nadawania były rozproszone, tak naprawdę to okazało się, że oni byli dosyć bezradni, jeżeli chodzi o penetrację tego wszystkiego. Oczywiście w tej pamięci pojawiają się jakieś takie różne dziwne komunikaty. Na przykład nie wiem dlaczego, nie wiem, czy to sen, czy nie sen, że wydawało mi się, że Monika Jaruzelska na przykład ona mówiła o podziemnym Radiu Solidarność. Dlaczego przywołuję tutaj Monikę Jaruzelską? Dlatego, że... Teraz zmieniam kompletnie temat: jak mówiłem panu o tym funkcjonowaniu tej sfery, powiedzmy tej dawnej PRL-owskiej, nomenklaturowej i tej niezależnościowej, jakkolwiek by ją nazwać, to myślę, że przykładem w ogóle świetnym na to było to, że nad jeziorem Omulew były działki różnych prominentnych, dziennikarzy na przykład. I one akurat miały to do siebie, że one były koło działki generała Jaruzelskiego i generała Kiszcza. Bardzo blisko. I naszą taką sąsiadką tam, gdzie wyjeżdżaliśmy, była Monika Jaruzelska też oczywiście. I świetnie się wszyscy razem bawiliśmy. I teraz tak, nie mam zdjęcia naszej Grupy Oporu. A tutaj przy flasce wina patrzę, że są te osoby młodsze znacznie z grupy radiowej. Więc jest tutaj Michał Chodurski, a młody jest Piotrek Woyciechowski, trochę zasłonięty przez Jurka Skrzypczaka. Więc Michał Chodurski i Piotr Woyciechowski byli niestety aktywnymi członkami Grupy Oporu i grupy radiowej. Jurek Skrzypczak dawał przede wszystkim mieszkanie na nadawanie audycji, a Jolka Wiśniewska była zastępczynią Wojtka Stawiszyńskiego, bardzo ważną osobą dla Radia, a później szefową już tego niezależnego Radia Solidarność. No i tutaj właśnie, jak sądzę, omawiamy nasze sprawy: co będzie, kiedy odzyskamy niepodległość? A mam jeszcze kilka innych zdjęć, ale musiałbym je bardziej intensywnie poszukać. Także w ,85 roku, kiedy Radio zaczęło nadawać na wizji telewizyjnej, było przez wiele lat nie namierzalne. Tak naprawdę to było zupełnie nowa faza funkcjonowania tego Radia. No i przede wszystkim chyba hołd należy się tym technikom, którzy wpadli na ten pomysł, jak mi się wydaje. No i dla Wojtka Stawiszyńskiego, który chyba był takim spiritus movens tego nowego Radia, bo wtedy już Romaszewscy nie zajmowali się Radiem. Już kiedy wyszli z więzienia, to już nie. To znaczy zajmowali się innymi sprawami. Natomiast Wojtek Stawiszyński

- on miał to zorganizowane prawie na sposób wojskowy, tą swoją „Armenię”. Niestety to sprawnie wszystko

działało. Oczywiście nie wiedzieliśmy, że to jest „Armenia”, czy że jest to „Nil”, ale dosyć późno poznaliśmy Wojtkę Stawiszyńskiego. A teraz mu sekundujemy w tym, co on robi, to znaczy w pisaniu różnych dzieł teologicznych. Trzeba pamiętać, że ja wyjechałem na jakiś czas do Niemiec, dosyć długo. Kuby już w ogóle nie było, bo wyjechał do Stanów. Także być może oni, być może Piotrek Woyciechowski już wiedział, że to funkcjonuje pod taką nazwą „Armenia”, czy Gośka Zembrzуска, która się wtrącała do wszystkiego. Zawsze musi być taka osoba. Urodziwa kobieta, która po prostu ma taką energię, że mogłaby obdzielić nas wszystkich. A to czasami niestety miało bardzo niedobre reperkusje. Ale na przykład dzięki niej pamiętam taką zupełnie piękną scenę, dlatego, że mieliśmy transparent... Myśmy robili swoje własne transparenty, z którymi chodziliśmy na demonstracje. Jak nie było co robić, w cudzysłowie. Pamiętam, że była taka msza papieska, na której my byliśmy z transparentem Solidarności i w pewnym momencie, no, stoimy dzielnie pod tym transparentem i jacyś faceci z tyłu pytają się – a wy jesteście tutaj sami? Ja mówię – nie, mamy z tyłu całą obstawę. Więc oni się rozejrzeli, ale doszli do wniosku, że to oni są tylko tą obstawą. Także po kilkunastu minutach jacyś ludzie wzięli mnie pod rękę i zaczęli prowadzić do suki. Pamiętam taką scenę właśnie, że Gośka się na to patrzy i mówi – nie no, uciekaj! Wrzasnęła takim strasznie wysokim, kobiecym, ale bardzo silnym głosem. I ja wtedy się wyrwałem tym ludziom, którzy klnąc nie gonili mnie, bo to był jednak taki tłum i oni się niezbyt dobrze mimo wszystko w nim czuli. Jaki to mógł być rok? No to już było późno. To była pielgrzymka i myślę, że to był właśnie '87. Jakoś tak, tak mi się wydaje. Z tego co Wojtek mówił, to jest to, że oni byli rzeczywiście sfokusowani na tym, żeby doprowadzić do tego podziemnego zjazdu Solidarności, który Kulerski tak naprawdę, z tego, co się orientuję, zablokował. Uważam, że to bardzo źle się stało, że on został zablokowany, mimo całego ryzyka, które to niosło. Ale pewnie by to skomplikowało być może trochę rzeczywistość Komisji Krajowej i Wałęsy, tego typu zjazd. Myślę, że te przygotowania diabli wzięli. Ale na pewno były bardzo dobre efekty funkcjonowania „Armenii”. No właśnie, na przykład Radio, ta możliwość komunikowania się ze społeczeństwem, takie dosyć energiczne, szybkie, bo ono wychodziło poza strukturę przekazywania wiadomości poprzez bibułę, no a bibuła była ograniczona jednak tylko do pewnej sfery ludzi. No i to wszystko, co powstawało razem, to znaczy takie ośrodki badawcze, ten ośrodek badawczy, taki socjologiczny powołał też i inne. Także czapka z głowy dla Wojtki w tej sprawie. Te fazy radiowe były oddzielone od siebie bardzo silnie. Romaszewscy już nie funkcjonowali w podziemnym Radiu Solidarność od czasów wyjścia z więzienia. Natomiast wiem, że takie kontakty były pomiędzy różnymi środowiskami właśnie dlatego, że ktoś przyjeżdżał z jakiegoś regionu i mówił, że ma sprzęt. Borusewicz mówi, że tam w Gdańsku się pojawiły i nie wiadomo, kto, od kogo i dlaczego, ale rzeczywiście były połączenia. Z Morawieckim było troszeczkę inaczej, dlatego że oni funkcjonowali trochę inaczej. Oni te radio, Na początku to ono było realizowane poprzez „gadałkę” i tak dalej, i tak dalej. Ale później rzeczywiście zaczęły się jakieś tam kontakty w Siedlcach, Olko. Tylko to już później, ale chyba też miał jakąś właśnie „Bertę”. Były takie poziome kontakty, ale myślę, że na poziomie takich silnych środowisk, regionów. Myśmy mieli tylko takie prośby, żeby czasami jechać tu, albo tam, poza Warszawę i żeby przekazywać komuś... To też trzeba było pamiętać, że czasami nie było to łatwe, żeby nadawać z innych miast, bo te nadajniki musiały ulegać daleko idącemu przesterowaniu. Ale wiem, że o Stalowej Woli i o Śląsku, to mieli pojechać. Chyba Śląsk się nie udał w ogóle, ale były takie wyjazdy gościnne też. Ale przede wszystkim było to, że regiony mówiły

- mamy radio, spróbujcie, i tak dalej. Nasza decyzja o wycofaniu się ze struktury Teosia była spowodowana bardzo silnym przekonaniem, że ten agent jest. Natomiast mówiłem o tym trochę wcześniej, że ja miałem świadomość tego, że przy bardzo spektakularnych akcjach nasza struktura zostanie namierzona, dlatego że jest to też funkcja kosztów. To znaczy jeżeli my jesteśmy grupą radiową, która jest odpowiedzialna za nadawanie radia, to koszty naszej infiltra-

cji są dosyć duże i one nie pozwalają tak naprawdę na skuteczne rozprawienie się z nami. Natomiast jeżeli dokonamy rzeczywiście czegoś spektakularnego, tak jak zrobił to Michał Mirecki, w pewnym sensie, to wtedy te uderzenie bezpieki może być tak silne, że doprowadzi do skutecznego namierzenia naszego. Ja myślę, tak mówię, że to nie było takie fajne myślenie moje na ten temat, ale teraz z drugiej strony miało to też plusy, dlatego że właśnie nasze funkcjonowanie w „Armenii” właśnie zgodnie z tą logiką, powodowało to, że te Radio mogło funkcjonować bez wielkich wpadek aż do końca tak naprawdę. A jakbyśmy wpadli na ten pomysł, który był zresztą genialnym pomysłem Michała Mireckiego, żeby zaburzyć jakieś tam bardzo istotne plenum partii, w jakiś sposób. I jak oni to usłyszeli, to dostali szafu po prostu, jak sądzę. I stąd się wzięło porwanie błyskawiczne Michała Mireckiego i jego jednak torturowanie. I tak dalej, i tak dalej. Myślę, że to nadał Kotarski po prostu, tą sprawę natychmiast. I to po pomysłem Mireckiego, o ile pamiętam, to było jakieś Plenum, bo to nie był aż zjazd PZPR-u. To był taki partyzancki plan, to znaczy było związane właśnie z silniejszą jakąś akcją ulotkową, z transparentami, z jakimś tam sabotażem i tak dalej, i tak dalej. Mówiąc szczerze, nie wiem, musiałbym go zapytać. Natomiast to spowodowało coś takiego, że on w ciągu, nie wiem, naprawdę dwóch, trzech dni to już był w piwnicy. To nie znaczy, że każda akcja musiała się tak zakończyć. Ale niestety, taki jest model tego działania trochę. Gdybyśmy próbowali na terenie giełdy, czyli KC ustawić „gadałę”, to sądzę, że wszystkie służby tajne, dwupłciowe, polskie, NRD-owskie i inne, myślę, że doprowadziłyby do szybkiego końca tej akcji jednak. Chyba żebyśmy byli geniuszami i planowali to latami. Ale to jest już wishful thinking. Z jednej strony patrzymy, podziwiam, na początku myślałem – o rany, oni są NZS, my jesteśmy NZS, no to będziemy wspólnie coś robić. Ale okazało się, że oni już nie chcą z nikim nic robić. Nie ze starszymi kolegami, bo oni mają swoją tożsamość, swoją energię. Z trudem mnie dopraszali do jakichś tam spotkań NZS-owskich czy innych. Jednocześnie mają ogromny temperament. Tam się pojawia w naszym środowisku Andrzej Papież, który był z Ligi Republikańskiej, Mariusza Kamińskiego wtedy trochę gorzej znałem, ale innych trochę znałem. Ale szybko sobie zdałem sprawę, że jest to inne pokolenie. Ale patrzyłem na nich z takim zazdrością trochę dlatego, że nasze pokolenie się już wykruszyło, ale musiało. To znaczy dużo naszych znajomych było w pracy, szukali jakiejś pracy, mnóstwo ludzi wyjechało za granicę, no bo to był taki czas. Jak się jest młodym, jest wszystko ok, ale jeżeli się zbliżamy do 30-tki, toż pojawiają się inne pytania dotyczące życia. I na to byliśmy narażeni. Także bardzo dobrze, że pojawił się ten projekt tego Radia już po Okrągłym Stole, bo myśmy mnóstwo w niego zainwestowali. To prawda. Byliśmy też na dziesiątkach szkoleń w radiu państwowym, które już otworzyło dla nas drzwi. I tak dalej, i tak dalej. No ale w sensie politycznym na przykład, to okazało się, że właśnie Liga Republikańska to już jest takim zwartym przedstawicielem tej generacji. Oni wiedzą, co oni chcą. Oni sobie wywalczyli miejsce przy Okrągłym Stole. My? My byliśmy żołnierzami tylko Regionu i byliśmy anonimowi. I dopiero pod koniec zaczęliśmy się buntować, że nie podobały nam się jakieś audycje, że uważaliśmy, że trzeba to inaczej przekazywać i tak dalej, i tak dalej. No ale później udało nam się poznać z częścią z nich, ale to już było w zupełnie innych czasach. Właśnie z Wojtkiem Nachiło i tak dalej. Ale to już była inna, inna znajomość. Także ja myślę, że kiedy mówimy o podziemnym Radiu Solidarność, to trzeba pamiętać, że ono miało trzy bardzo wyraźne fazy, które były zupełnie oddzielone, przynajmniej tutaj, przez filtr Warszawy, ale też myślę, że całego kraju. I tak naprawdę będę się upierał przy tym, że jeżeli ktoś się odważy kiedyś na taki projekt trochę ryzykowny, żeby pisać historię od strony części, a nie od strony ludzi, to będzie to uzyska pewien sukces. Pamiętam, że nawet myśmy zrobili coś takiego jak ostatnia audycja Radia Solidarność. I to chyba było po Okrągłym Stole i przed wyborami jeszcze. Grzesiek był mocniej zaangażowany w to, by lepiej o tym powiedzieć. Pamiętam, mieliśmy taki wyjazd roboczy, delegacyjny, ale po prostu wyjazd już bez Radia, bo chcieliśmy zobaczyć mur berliński. I wtedy rozmawialiśmy

o przyszłości właśnie, tego, co nas czeka. I tak dalej, i tak dalej. Mówiliśmy, że ten świat stanie się taki o wiele bardziej otwarty, z większymi możliwościami, co okazało się i prawdą, i nieprawdą. No ale bądź co bądź no jednak jakimiś politykami zarówno Piotrek Woyciechowski, jak i Tomasz Tywonek zostali, mieli swoje ogromne wzloty i trochę upadków. My byliśmy dziennikarzami bardzo często. Michał Chodurski był szefem newsroomu w radiu, ja byłem zastępcą szefa publicystyki w telewizji i tak dalej. Nie chcę mówić o naszych CV teraz, bo nie o to chodzi, ale gdzieś tam poszliśmy właśnie bardzo często w kierunku informacji, w kierunku dziennikarstwa. I to było chyba związane z tym naszym backgroundem tak naprawdę. Trzeba jeszcze jedną rzecz powiedzieć, bo jak ja powiedziałem, że te nowe pokolenie wzbudzało we mnie zazdrość taką niezależnością, świeżością i energią, to trzeba też powiedzieć, że myśmy – my jako te starsze pokolenie NZS, starsze pokolenie konspiracyjne – jednak się niestęchanie odróżnialiśmy od tych poprzednich pokoleń, których jednak cechował ten brak doświadczenia tego realnego oporu. Ja mówię o dziennikarstwie. To znaczy jak spotykałem dziennikarzy w innych tytułach prasowych, którzy przede wszystkim mieli doświadczenie cenzury, kontaktu z Głównym, czy w telewizji i tak dalej, i tak dalej. A oni mieli inne doświadczenie, to znaczy tego systemu bardziej represyjnego jednak, o ile nie zajmowali się wyłącznie malarstwem albo kulturą, albo sztuką, to widać było po nim, że między nami też jest taka różnica pokoleniowa, bardzo istotna. No i tak to było. A czy wpływ na rzeczywistość był największy? No to już trudno mi powiedzieć. Nie będę osądzał. Samo nagranie na taśmie takiej magnetofonowej, którą pewnie nie wszyscy pamiętają już teraz, było nagrywane w studiu. Szumnie to było nazwane studio nagraniowe i lektorzy byli. Mówiąc między nami te studio nie było specjalnie potrzebne, ani ci lektorzy specjalnie potrzebni nie byli ze względów technicznych, dlatego, że wystarczyło to nagrać na zwykajne ZK 120 albo ZK 140 na magnetofon. Na ogół były to treści, które były przekazywane od strony politycznej przez Region albo za pomocą TM-ki, czyli Tygodnika Mazowsze, albo uzgodnione były, nie pytałem o to Stawiszyńskiego, ale w jakiś sposób było to uzgadniane. Stawiszyński miał mnóstwo kontaktów, oczywiście z RKW też. Także wychodziła taka audycja, która powiedzmy była politycznie uzgodniona z RKW, była nagrana przez studio nagrań „Armenii”, powielana w kilkunastu sztukach i myśmy dostawali tak naprawdę jedną lub dwie takie kasety. I chodziło o to, żeby w miarę efektywnie grać tymi kasetami w ciągu następnego, do następnego okresu, kiedy się pojawiają nowe kasety. Na ogół to było dłużej niż tydzień, to było 10 dni, 12. Myśmy grali z 4, 5 lokali tą kasetą i później nie pamiętam, co się działo z tą kasetą. Czy ona ulegała takiej anihilacji przez nas, czy... To jest ciekawe pytanie, bo jeżeli nie, to ktoś miałby jeszcze te kasety gdzieś pod ręką, w jakiejś starej szufladzie. I później, jeżeli coś się działo z „Bertą”, ale nie pamiętam, żebyśmy mieli jakiś kłopot z „Bertą”, to mogliśmy korzystać z pomocy technicznej. I to było bardzo ciekawe, część „Armenii”, to znaczy ci technicy i ci ludzie, którzy robili te rzeczy, czyli właśnie te „Bile” i „Berty”, i te urządzenia, dzięki którym się pojawiały napisy na wizji telewizyjnej, i tak dalej, i tak dalej. Bardzo byli twórczy w tej kwestii. „Berta” była ciężkim nadajnikiem. On ważył, myślę, że ze 12 kg, może więcej. Myśmy je chowali do specjalnych toreb i się pojawialiśmy u kogoś na oznaczoną godzinę. W czasie Dziennika Telewizyjnego szła audycja 10-15 minutowa i wychodziliśmy tam już bez „Berty” oczywiście, żeby uniknąć zatrzymania. I nie można było nas tak łatwo namierzyć. No chyba żeby był otoczony cały blok i i tak dalej. I tak graliśmy. To znaczy tak jak mówię, kiedy wkradł się brak dyscypliny, doszliśmy do wniosku, że te sztywne audycje, które daje nam RKW, to w ogóle nie odpowiadają znakom czasu i że my im pokażemy. Tak naprawdę, mówiąc szczerze, zaczęliśmy nagrywać coś swojego czasami. No bo dlaczego mamy czekać na kasetę od RKW, kiedy możemy włączyć ZK 140 i nagrać ją błyskawicznie? Ona będzie reagowała błyskawicznie na to, co się dzieje. Akurat, nie wiem, słuchaliśmy Wolnej Europy, a dzieje się to i to, no zrobimy to lepiej, to znaczy zrobimy to z informacji dzisiejszych. Nie musimy czekać, żeby oni nam dawali jakieś

swoje komunikaty sprzed tygodnia. Więc było tak, ale to na zasadzie żartu pewnego rodzaju. Braku pokory. Ale było. Było coś takiego. A myślę, że niektórzy to nawet bardziej korzystali. Inne grupy, które dostały „Berty” bardziej intensywnie korzystały z tego pomysłu. Ja uważam, że tak jak mówię, byliśmy zdyscyplinowani prawie do końca. Do końca. Ja myślę, że cała konspira nas ukształtowała bardzo silnie. To znaczy jeżeli chodzi o poglądy polityczne, to oczywiście doszło do jakiegoś tam podziału, ale po pierwsze doszło do podziału. Teraz żyjemy w czasach hejtu, ale w momencie, kiedy komuś się rzeczywiście coś złe działo, to znaczy nie wiem, chorowało mu dziecko i tak dalej, to można było liczyć również na tych naszych znajomych, którzy mają zupełnie inne poglądy polityczne. Czyli ta solidarność konspiry jednak ciągle obowiązywała i była ważna. W jakiś sposób boleliśmy nad tym podziałem, który się wytworzył. No ale cóż było zrobić. Natomiast myślę, że to, przez co przeszliśmy, to nas do przygotowywało do pewnego rodzaju zachowania. To znaczy przede wszystkim właśnie w pewnym sensie pracy może i dziennikarskiej, ale też takiej nieprawomyślności. To są osoby, które musiały się spotykać bardzo często z systemem, że tak powiem, i wychodziły z tego obronną ręką. Myślę teraz o Michale właśnie, który był dyrektorem też PR24 przez jakiś czas. Michale CHodorskim, a później musiał się postawić swojej prezesce, notabene prawicowej także. Ale to jakoś tam nie sprawiło mu to jakby takiego dużego kłopotu. I myślę, że przez te lata ta integracja nam towarzyszyła. Tak jak myślę, że później, następnym pokoleniom też: Lidze Republikańskiej czy innym, podobnym. Trudno jest mi mówić, co jest czynnikiem takim istotnym, generacyjnym dla nowych pokoleń. Czy to są partie polityczne? Nie jestem pewien. Być może. Ja byłem na Ukrainie w pierwszych dniach wojny, to znaczy wylądowałem we Lwowie, chyba drugiego dnia. Planowaliśmy być tylko we Lwowie na początku. Pojawiło się tam mnóstwo ekip, oczywiście dziennikarskich, korespondentów zagranicznych. I wtedy była taka sytuacja, że ten pierścień rosyjski wokół Kijowa się zamykał. No i doszliśmy do wniosku, że być może powinniśmy tam być i pojechaliśmy tam samochodem przez Żytomierz. Później to już się nie dało jechać szosą za Żytomierz, więc musieliśmy jechać od południa, bo to była jedna z nielicznych dróg, która była do Kijowa. Jechałem z Andrzejem Gelbergiem, który też notabene był w Radiu Solidarność. To jest taki rozdział, o którym nie opowiadałem. Mówi się o tym, że istniały jakby trzy programy tego Radia Solidarność. Ja mam wątpliwości co do tej uwagi i tej opinii, tej enuncjacji. To znaczy były rzeczywiście trzy środowiska, ale najsilniejsze było te Armenijne, wbrew temu, co Grzegorz czasami pisał w swoich artykułach. Mówił o II Programie, o III Programie, Grzegorz Majchrzak. Tak, to ja uważam, że to nie ma porównania. To znaczy te środowisko „Armenii” było potężne wobec nich i bardzo silne. Fedorowicz zaliczył ciężkie wpadki, a Andrzej Gelberg naprawdę był według mnie dosyć efemeryczny. To znaczy miał tam raptem parę osób i korzystał ze sprzętu „Armenii” tak naprawdę i bardzo często z taśm „Armenii”. Tylko że używał zamiast „Siekiera, motyka, bimber, szklanka”, Używał chyba „Murów” zdaje się. Nie wiem, czy to on, czy Fedorowicz, ale tak to było. To tak na marginesie. Ale później z Andrzejem właśnie dzięki Radiu się poznaliśmy i wpadliśmy na pomysł, żeby jechać na Ukrainę. Zresztą ja pracowałem z nim jeszcze w wielu innych miejscach. Pracowaliśmy razem w Gazecie Bankowej, on był redaktorem naczelnym Gazety Bankowej albo dziennikarzem tam. Moim pomysłem było to, żeby nie jechać tam tylko na próżno, tylko żeby robić film. I zrobiliśmy 2,5 filmu, bo trzeci się skończył na terenie Niemiec. Właśnie tego, co się na Ukrainie wtedy działo. To znaczy mieliśmy nagrania ze schronów, rozmów ludzi, którzy uciekali z okolic Kijowa. To też było dla nas bardzo ważne doświadczenie. To były pierwsze chwile. Byliśmy w stanie szoku. To znaczy jak widzieliśmy te ogromne tłumy, które „atakują”. Znaczą „atakują” w cudzysłowie, są na granicy polskiej. Polacy się błyskawicznie organizowali, żeby im pomóc. Ale to wyglądało dramatycznie z tamtej strony. To znaczy widzieliśmy te orszaki ludzi, mężczyzn, którzy musieli zostawiać kobiety, swoje dzieci i wracać na wojnę. Widzieliśmy studentów różnokolorowych, dla których była to jedyna droga

wyjścia z Ukrainy. I w ten sposób powstały te filmy, zapisy filmowe. Ja w jakimś sensie jestem pewny, że gdyby nie konspira, to nie dogadalibyśmy się tak błyskawicznie i bez słowa z Andrzejem Gelbergiem, że koniecznie trzeba je-chać. Był jeszcze Mariusz Wilczyński, był z nami też oczywiście człowiek z konspiracy, ale Gdańskiej z kolei. No a potem, to już we trójkę dojechaliśmy do Kijowa. Tam nocowaliśmy u bardzo dzielnych Braci Bernardynów, którzy nas przechowali. Ale to już jest inna sprawa. Zresztą dosyć zabawna, bo według naszych informacji z ambasady polskiej miało iść już potężne uderzenie na tamten brzeg Kijowa. I nie mieliśmy co robić, bo tam został chyba jeden most do przejechania z jednej strony na drugą. I ci Bracia tak spojrzeli na nas, a oni mieli taki ogromny spokój, jakby sobie mówią – nie no, chodźcie z nami – powiedzieli – chodźcie na dół. I tam pokazali nam te swoje podziemia, których używali chyba od wielu lat, nie tylko w celach religijnych, tylko w innych. To było rzeczywiście potężne podziemie i mówią – żadna rakietą tego nie przebiję oprócz, no nie wiem, może tych bardzo dalekiego zasięgu. No i uwierzyliśmy, zostaliśmy na tym brzegu, mimo tych wszystkich ostrzeżeń. I słusznie, no bo z kolei ambasada polska jest dosyć słaba, jeżeli chodzi o wytrzymywanie uderzeń i nalotów. To też był taki powrót trochę na zasadzie takiej psychologicznej, takiej do tego, co nam kiedyś towarzyszyło dawno, dawno temu, w latach 80-tych. Ja byłem w każdym razie pod wrażeniem. Tego dramatu, tych ludzi, nieszczęścia tych ludzi uciekających, których spotkaliśmy cały czas. To znaczy, bo to było tak, że myśmy jechali w kierunku Kijowa, a myśmy cały czas spotykali w schronach albo poza nimi ludzi, którzy uciekali, którzy mówili o bombardowaniu, którzy mówili o ofiarach. I jednocześnie coraz więcej zdjęć dostawaliśmy od tego, co tam się działo, z tych miejscowości około kijowskich. A to od jakichś już żołnierzy, a to od jakichś operatorów. Także ten film powstawał jakby sam, to znaczy w tym sensie, że myśmy nie byli na pierwszej linii frontu wtedy. Mieliśmy za mało czasu, a poza tym, no, nie wiem, czy bym to wytrzymał akurat. Więc myśmy dostawali od takich przygodnych lub nieprzygodnych operatorów te zdjęcia i ten film sam powstawał. To znaczy myśmy generalnie nagrywali tylko ludzi i rozmawialiśmy z nimi, z tymi ludźmi, którzy uciekali z Kijowa i jechali w kierunku na Zachód. A jednocześnie dostawaliśmy cały czas te nowe materiały i to wywoływało jednak szok. No bo tak: działania wojenne były tak totalne na tych zdjęciach, że musiały wywoływać szok, a jednocześnie ten film sam się robił. To znaczy on miał taką podwójną logikę uciekających ludzi i coraz więcej zdjęć, które dostawaliśmy od ludzi, którzy tam operowali. No i gdyby nie kilka błędów, to byłby naprawdę bardzo udany film. A potem jakby siłą rozpędu, to znaczy jeden, drugi jeszcze zrobiliśmy niemiecki, ale to już na takich zasadach recepcji wojny ukraińskiej na tym terenie niemieckim. I wtedy po raz pierwszy dowiedziałem się, że jest takie miejsce na Ziemi, gdzie ciągle funkcjonują cytaty Stalina, ojca narodów na obeliskach, a okazało się, że tym miejscem jest Berlin. No i tak. Pytanie jeszcze jest co dalej? No, być może gdybyśmy wykrzesali z siebie więcej sił, nie wiem, teraz, czy za rok, czy kiedyś, to będziemy oczywiście teraz, spotkamy się z okazji 10 rocznicy śmierci Marszałka Romaszewskiego. I może pomyślimy o tym projekcie jakimś jeszcze dotyczącym tego Radia Solidarność, żeby pewne rzeczy przekazać. Próbowaliśmy wydać książkę, ale ona była tak nieszczęśliwa, tak niedobra, że o tym przedsięwzięciu należałoby zapomnieć. Mimo pewnych kosztów, które myśmy wszyscy ponieśli, a one były spowodowane przede wszystkim stanem wojennym, który zabrał po prostu całemu społeczeństwu, całą dekadę zabrał, a strasznie dużo ludzi wypchnął poza granicę, to mi się wydaje, że to się opłaciło nam. To znaczy nasze więzi są naprawdę dosyć silne i to jest taka wartość, z którą jakoś tam przez życie idziemy. Nigdy nie mieliśmy estymy do tego, co nam się przydarza, stąd ten brak tych pamiątek. To trzeba mieć inną uwagę, żeby później móc wracać do takich rzeczy, trzeba być bardziej operatorem albo kimś takim. No i tego mamy mało. Tego teraz żałujemy. Teraz będziemy walczyć o to właśnie, żeby nasz nadajnik, który jest w Muzeum Techniki, przenieść na takie miejsce, gdzie ludzie będą mogli go oglądać, a nie żeby był w magazy-

nach Muzeum Techniki, w Takim absurdalnym miejscu. Mówimy o nadajniku, mówimy o „Bercie”, czyli tym najbardziej naszym ciężkim, takim nadajniku kilkunasto kilogramowym, który powinien rzeczywiście trafić chyba na Rakowiecką. No i być może jeszcze kilka jakiś pomysłów będziemy mieli. Jak Marszałek [Romaszewski] żył i był naszym honorowym przedstawicielem, znaczy honorowym Przewodniczącym naszego Stowarzyszenia, to wszystko było prostsze. Było łatwiejsze dlatego, że na jego wezwanie to się po prostu stawiało mnóstwo osób i można było wspólnie rzeczy pewne wykombinować. Teraz jest inaczej. Bez niego jest inaczej. Jest gorzej. Kiedyś ktoś miał taki pomysł i on mi przyszedł, powrócił po wielu latach. To znaczy, żeby powstał taki Instytut Wolnościowy imienia. Zbigniewa Romaszewskiego. To nigdy jakoś się nie niezrealizowało. Powstawały inne. A mi się wydaje, że rzeczywiście może do tego wrócić. Także widzi pan, jeszcze parę pomysłów, która gdzieś tam funkcjonują. A jeżeli chodzi o powrót do funkcjonowania na rynku mediów za pomocą „Berty”, to już nie ma takiej potrzeby, na szczęście. To znaczy, póki nie jest zablokowany internet i powstają sensowne podcasty, i tak dalej, i audycje, i filmy. Więc na szczęście nie ma takiej potrzeby. A zresztą, jakie to byśmy mieli kłopoty, gdybyśmy chcieli teraz uruchomić audycję na wizji TVN-u na przykład. Albo coś takiego. Nie. Mam nadzieję, że nie będzie takiej potrzeby. Natomiast wie pan, jest tablica poświęcona Zbigniewowi Romaszewskiemu na Ochocie, tam gdzie była pierwsza audycja nadawana w tamtym bloku. I kiedyś był tam wspaniały mural, ale on został zniszczony dlatego, że administracja wymieniała jakiś tynk, elewację zmieniała, i tak dalej, i tak dalej. I ten piękny dla mnie mural, który był takim dziecięcym zapisem naszej aktywności, trochę dziecięcej w sensie takiej dziecięcej logiki tego rysunku. No niestety, to zostało zniszczone i w zasadzie teraz powinniśmy udać się może do władz Ochoty. Jeżeli to jest w gestii, to żeby przywrócić ten mural na tym miejscu albo na jakimś innym.